

### Moja przygoda w Wokarku

To była zwyczajna wycieczka, przyjechałem z tatą na trzy dni do wujka Jacka do Krakowa. Znam trochę Kraków, byliśmy w nim wcześniej. Zbliżały się moje urodziny i wujek przygotował dla mnie niespodziankę.

Pojechaliśmy na sportowe lotnisko, a tam wydarzenia potoczyły się błyskawicznie... Zaskoczenie totalne! Dlaczego? Ponieważ pół godziny później lecieliśmy samolotem, a ja pierwszy raz w życiu miałem tak po prostu wyskoczyć ze spadochronem.

Na wysokości 4000 metrów, przypięty do instruktora wyskoczyłem po nową przygodę. Kraków z lotu ptaka, w promieniach porannego słońca wyglądał pięknie. Tata leciał niedaleko z innym instruktorem. Szybowaliśmy z otwartą czaszą spadochronu, kierując się na Błonia. Nagle jakaś chmura przesłoniła mi widok i ogarnęło mnie dziwne uczucie. Zapadłem jakby w śpiączkę...

x x x

Gdy się przebudziłem, siedziałem na trawie, na skraju Błoni. Mieliśmy tu lądować, ale nie było ani taty, ani instruktorów. Nie było też spadochronu. Ogarnął mnie dziwny niepokój. Sięgnąłem po swój smartfon i wykręciłem numer taty.

– Piiiiii, nagraj swoją wiadomość! – usłyszałem.

Postanowiłem pójść w stronę Starego Miasta, pomyślałem, że tata wkrótce oddzwoni. Po drodze mijałem wielu rozbieganych ludzi. Wyglądali dość dziwnie, niby dorośli, a mniejsi i drobniejsi ode mnie. Wszyscy krzatali się ruchliwie, znosili całe zwoje miedzianego drutu i składali go w jednym miejscu. Pod rzędem drzew inni mali ludzie wznosili jakąś wieżę.

– Po co im ta wieża – pomyślałem i w tej samej chwili poczułem gwałtowny wstrząs.

– Hej, uważaj, jak chodzisz! – usłyszałem.

Odwróciłem się i zobaczyłem blondyna, mniej więcej w moim wieku, który spojrzał na mnie kwaśnym wzrokiem. Był mojego wzrostu, obaj odróżnialiśmy się od ludzi wokoło.

– Sorki, zapatrzyłem się – przeprosiłem chłopca.

– Jestem Bartek, a ty jak masz na imię? – zapytał.

– Karol, jestem w Krakowie przejazdem, właśnie szukam taty – odpowiedziałem.

– W Krakowie??? Nie jesteś Allianinem? – zdziwił się Bartek.

Opowiedziałem mu, jak się tu znalazłem. Był zdumiony i przedstawił mi z kolei niesamowitą historię, która zderzyła nas [dosłownie] ze sobą.

Okazało się, że Bartek mieszka w Krakowie, ale teraz jesteśmy w Wokarku, zamieszkiwanym przez Allian. Dziwnym mieście, rządzone i kontrolowane przez Nienazwanego oraz terroryzowane przez ohydne, niebezpieczne Pajęczaki. Ten manipulujący miejscowymi typ mieszkał na zamku, przypominającym królewski Wawel, zwanym Lewawem. Zanim Bartek poznał w Wokarku kilkunastu jego mieszkańców, przeżył potyczkę z wielkimi włochatymi Pajęczakami, które w ciągu dnia chowały się w podziemiach mrocznej twierdzy. Okazało się, że te jadowite stwory wychodzą po zmroku na ulice i atakują wszystkich, których napotkają. Omijają jednak Bartka, a wręcz uciekają przed nim, odkąd oberwały od niego prądem z baterii.

Bartek mieszkał w krakowskim domu dziecka i gdy szukał swoich rodziców, dziwnym trafem znalazł się w Wokarku. Poznał Loraka i jego rodzinę, jego sąsiada Lewapa i sprawującą w imieniu Allian władzę – Radę Mędrców. Przede wszystkim jednak znalazł rodziców – Airam i Kelefa oraz młodszą siostrę Aloj. Byłby już zapewne szczęśliwy, ale postanowił rozprawić się z Nienazwanym, który jak mafioso trząsł całym miastem. Dlatego właśnie Allianie budowali na Błoniach wysoką konstrukcję i znosili drut, żeby podłączyć go do baterii na wieży, a siecią z drutu opleść całe miasto, aż pod mury zamczyska. Chciał w ten sposób wygonić Pajęczaki i przywrócić zastraszonemu, bezradnym Allianom normalność oraz pewność siebie. Tyrana z Lewawu Bartek zamierzał załatwić sam. Postanowiłem mu pomóc.

Zbliżało się południe, a z tatą ciągle nie mogłem się skontaktować. Skorzystałem więc z propozycji Bartka, by pójść do Loraka na obiad.

Podreptaliśmy trochę naokoło, minęliśmy zakręt rzeki Ałsiw, Lewaw i skierowaliśmy się ul. Kanoniczą, a następnie Grodzką w stronę Rynku, miałem wrażenie, jakbym szedł Traktem Królewskim przez Kraków. Niesamowite, ale powietrze było takie czyściutkie, w odróżnieniu od krakowskiego smogu. Podziwiałem – nieco mniejsze od krakowskich – kolorowe kamieniczki, barwne stragany i uśmiechniętych tubylców. Przemknęliśmy przez Rynek, obeszlśmy Sukiennice, mariackie wieże, Ratusz, zupełnie jak w Krakowie. Zamiast hejnału, raz w tygodniu, na polecenie władcy Lewawu, puszczano z wieży mariackiej przez głośniki mowy pochwalne na jego cześć.

U Loraka zostałem bardzo ciepło przyjęty przez życzliwych domowników. Bartek opowiedział im moją historię, Lorak zwrócił uwagę na nasze wspólne, po przeczytaniu na wspak, imię. Rozczuliłem tym żonę gospodarza, Annę, a dzieci – Atram i Bukaja – polubiły mnie od razu jak brata. Ci przesympatyczni ludzie zaproponowali mi gościnę i pomoc w odszukaniu taty.

Po obiedzie poszliśmy na naradę wojenną do Ratusza. Poznałem wszystkich dziesięciu członków Rady Mędrców, którzy nie mogli uwierzyć w niezwykły zbieg okoliczności, jakim było moje pojawienie się w Wokarku i to, że spadłem im w pewnym sensie z nieba. Po drodze przyszedł mi do głowy pewien pomysł, postanowiliśmy z Bartkiem rozpocząć nasz wieczorny atak na Pajęczaki od obserwacji z wieży mariackiej.

Nadszedł zmierzch, wdrapaliśmy się na wieżę mariacką i przez lornetkę obserwowaliśmy rozwój sytuacji. Zaczęło się, Pajęczaki wyległy z Lewawu uliczkami w stronę Rynku. Nadziały się na rozciągnięte przez Allian sieci. Jakże różniły się od tych pajęczych, wstrętne bezkręgowce uciekały jak oparzone po dotknięciu odnóżami miedzianych zasieków. Napięcie rosło w odwłokach odrażających stawonogów, ale i mnie przechodziły ciarki, gdy obserwowałem znane mi z opowieści włochate paskudy.

Wtedy szturchnąłem w ramię Bartka. Wystawiliśmy w południowym okienku hejnalisty głośnik, podłączyłem do niego smartfon i puściłem na całą moc Boysów:

– Jesteś szalona... – rozległo się po całym Wokarku.

Napoczęte prądem Pajęczaki płąsały jak koty po kocimietce, a po kilkunastu sekundach padały jeden po drugim. Po *Szalonej* dołożyłem im Zenkiem Martyniukiem:

– Przez twe oczy zielone... – dało się słyszeć tym razem.

Kiedy Pajęczaki to usłyszały, wpadły dodatkowo w depresję. Resztkami sił uciekły wszystkie poza miasto, na południe.

– Czeski film – pomyślałem.

– Chodź Karol, idziemy teraz na Lewaw! – krzyknął Bartek.

Allianie wylegli na ulice i zaczęli tańczyć z radości. Po kwadransie sforsowaliśmy siatkę przy Grodzkiej i skierowaliśmy się w stronę zamku. Pajęczaków już nie było – prąd

i disco polo przegoniły raz na zawsze ośmionogie brzydale, więc szukaliśmy w labiryncie korytarzy zaniedbanej twierdzy ostatniego ogniwa alliańskich nieszczęść.

Nienazwany czekał na nas w największej komnacie. Wiatr hulał nieziemsko, a sterczące resztki zamczyska falowały zupełnie jak fanki disco polo. Byliśmy zdziwieni widokiem drobnego starca, mało nam szczęki nie wypadły z zawiasów. Jak takie chuchro mogło zniewolić sympatyczny lud Wokarku, kto by pomyślał? Dziadzio, a może bardziej dziadyga, bo przeobrażał się w różne brzydactwa, a przy tym próbował nas przegadać, wyglądał coraz marniej. Chyba nie potrafił znieść klęski, zgotowanej mu przez dwóch nastoletków. Zaczerwienił się jak burak, zakwiczął żałośnie, padł na wznak i zmienił się w kamiennego prosiaka.

Do komnaty niespodziewanie wkroczył tłum Allian, którzy nabrali odwagi po wypędzeniu Pajęczaków. Ich pełne radości okrzyki spowodowały zawalenie większości ścian komnaty. Lewaw się zmienił, Lewaw się wyzwolił, Lewaw wymagał odbudowy.

W stronę miasta ruszył roztańczony korowód, niosący bryłę kamienia, jaka pozostała po ich prześladowcy, a wruszony Bartek pomyślał wtedy o rodzicach.

– Karol, chodź ze mną, poznasz moją rodzinę – wyszeptał.

Sam zatęskniłem za tatą i mamą.

– Czy jeszcze ich zobaczę – pomyślałem ze smutkiem.

Wkrótce doszliśmy do ulicy U Ałaks. Bartek serdecznie wyściskał się z rodzicami, a rozanielona Aloj przytuliła się słodko do brata. Mały kundelek o imieniu Roza natomiast doskoczył do mnie wywijając ogonkiem i polizał mnie po nosie. To było takie miłe po ciężkim dniu. Nadmiar wydarzeń i emocji zmęczył nas wszystkich, po uroczystej kolacji poszliśmy spać. Airam i Kelef ugościli mnie jak drugiego syna, Aloj zasnęła wtulona w brata, a ja? Nie było innej opcji, Roza wskoczyła na kołdrę, żeby ukoić moją tęsknotę za rodzicami.

Nazajutrz wokarkowianie spotkali się na Rynku. Jakże ci ludzie się zmienili, odzyskali radość życia i pasję twórczą. Rada Mędrców, jak drużyna piłkarska, była odtąd jedenastoosobowa, bo zgodnie z wolą wdzięcznych Allian Bartek dołączył do niej. Mnie Rada Mędrców uhonorowała pamiątkowym medalionem, z wizerunkiem Wokarku po jednej, a Krakowa po drugiej stronie. W południe, przy dźwiękach hejnału z wieży mariackiej (ale nie disco polo), Allianie uroczyście wynieśli kamiennego prosiaka na postumencie i zrzucili do rzeki. Symbol zacofania i smutku Wokarku dryfował na falach Ałsiw i szybko zniknął wszystkim z oczu.

Uścisnęliśmy sobie z Bartkiem dłonie, poprawiliśmy piąteczką, żółwikiem i miśkiem, po tej przygodzie zyskałem niemal brata, na pewno przyjaciela. Pomyślałem nagle o Krakowie i Grodzisku, i zamknąłem na moment oczy.

x x x

Ocknąłem się usłyszawszy głos taty:

– Karol, przysnąłeś chyba po skoku, wołaliśmy cię!

Obok taty stali uśmiechnięci instruktorzy, pogratulowali mi pierwszego skoku.

– Właśnie, czy to był skok do jakiejś krainy snów? – zapytałem sam siebie w myślach.

Sam nie wiem, czy mi się to wszystko może przyśniło?

Tort urodzinowy, moja ulubiona gloria, stał na stole przybrany świeczkami. Pomyślałem życzenie. Zgadnijcie jakie? Następnie zdmuchnąłem płomyczki na wiśniowej psychocie i wtedy coś sobie przypomniałem. Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyciągnąłem z niej pamiątkową monetę z Wokarku.